ROZMAITOŚCI.

Dnia 4. Marca. № 9. Roku 1857.

ZEMSTA ZZA GROBU.

(Ciąg dalszy.)

Otworzyłem teraz listy; lecz nie umiejąc czytać, musiałem je złożyć napowrót, i schowałem starannie do kieszeni.

Czas już był wreście opuścić chatę. Przy schyłku maja, nocy prędko ulatują. Pierwsze promyki słońca świeciły już zza boru.

Wybiegłszy na wiadomą ścieżkę, stanąłem wnet u krańca lasu, a obejrzawszy się tu dokoła, znalazłem prędko, czego właściwie szukałem. Koń Alberyka stał uwiązany przy drzewie, czekając niecierpliwie swojego pana.

Wziąłem go za cugle, i zaprowadziłem ścieżką aż pod próg chaty Luiselli. Tam uwiązawszy go na nowo, pobiegłem po trupa Alberyka i z nim razem wsiadłem na konia, przezwyciężając zręcznością i śmiałością opor zżymającego się wierzchowca.

W kilka chwil pędziłem już szalonym galopem ku Mortarano, czyli właściwie ku miejscu, gdzie zostałem rozstrzelanym. Zatrzymując się nagle przed swoim grobem niedawnym, zeszpeciłem nożem twarz Alberyka, a potem wrzuciłem go w jamę, do reszty trupów.

— „Skończył się rachunek między nami“— szepnąłem podczas tego strasznego czynu.

I spiąwszy konia, pognałem na nowo ku lasowi ś. Eufemii.

Około czwartej godziny zrana, kiedy dobrze już zaczęło rozwidniać się na niebie, stanąłem napowrót przed chatą Luiselli.

Zastałem młodą dziewczynę na temsamem miejscu, na którem leżała w czasie mojego odjazdu. Tylko bladość jej była jeszcze okropniejszą, otrętwiałość jeszcze bardziej przerażającą. Od czasu do czasu wyrywało się z jej piersi westchnienie, coraz cięższe i słabsze.

Po raz pierwszy w tej nocy uczułem litość w sobie.

— „Luisello!“—rzekłem łagodnie.—„Wstań, pójdźmy ztąd! Uciekajmy z tego miejsca śmierci i rozpaczy.“

Nie rozumiała mnie. Jej wzdychanie nerwowe uśmierzało się powoli.

Chciałem ją podnieść; lecz upadała zawsze bez życia na dawne miejsce.

— „Luisello!“ — rzekłem. — „Odpowiedz mi, przemów do mnie, a wszystko ci przebaczę.“

W tej chwili zrobiła jakieś gwałtowne wysilenie, jakgdyby chciała powieść okiem dokoła.

— „Odpowiedzże, Luisello!“ — zawołałem znowu z trwogą.

— „Henryka!“ — wyszepnęła ostatniem tchnieniem. Napróżno próbowałem ją ocucić, przyciskając jej ciało do piersi moich: Luisella już nie żyła.

Zadałem gwałt mojej boleści, siłą przytłumiłem łkania, i uciekając z tych ścian nieszczęsnych, dosiadłem napowrót konia. Potem wybrnąwszy szczęśliwie z lasu, puściłem się w drogę przeciwną od Mortarano.

Wiodła mię myśl następująca:

Od początku tej okropnej wojny, od czasu mianowania jenerała Manhés niezawisłym gubernatorem Kalabryi, wszystkie głosy złorzeczące jego imieniu, nie mogły znaleźć dość słów pochwały i uwielbienia dla innego wodza francuzkiego, dla jenerała Pawła de Vauguyon. Zarówno szlachetny jak waleczny, zarówno ludzki względem zwyciężonych jak nieubłagany w boju, urzeczywistniał on niejako ideał rycerskiego bohaterstwa, który obok wzniosłych tradycyj dawnej szlachty łączył w sobie entuzyazm bohaterów epoki napoleońskiej.

Do niego też postanowiłem udać się bez zwłoki. Dzięki szybkości mojego konia i oficerskiemu mundurowi, przebyłem bez przypadku całą Kalabryę, a trzeciego dnia stanąłem już w Casalnovo.

Jenerał Vauguyon stał kwaterą między Nocerą a Neapolem. Pospieszyłem tedy ku pierwszemu miasteczku, i znalazłem we wsi S. Severino mieszkanie wodza.

Mieniąc się wysłannikiem od jenerała Manhés, zażądałem posłuchania. Przyjął mię natychmiast. Stanąwszy raz przed jego obliczem, opowiedziałem mu wszystko, z jaknajwiększą szczerością.

W ciągu mojego opowiadania smutniała coraz bardziej bohaterska fizyognomia jenerała.

— „Prawo wojenne!“ — mruknął przez zęby.—„Otoż to następności tej okropnej wojny!“

Potem z nieopisanym wyrazem dobroci wyciągnął ku mnie rękę.

— „Paolo!“ — rzekł po chwili — „twoja zemsta była okrutną, lecz można ci ją przebaczyć. Wszakże krwawe to zdarzenie, które mi opowiedziałeś, musi odtąd położyć przedział niewyrównany między twoją przeszłością a przyszłością. Paolo Garba, Kalabryjczyk, pasterz owiec Antonia, który jednem pchnięciem noża pomścił się na przeciwniku, nie może istnieć na świecie. On już nie żyje, rozstrzelany nad rowem w Mortarano. Nazywasz się odtąd Paweł *Garbas*, a zostając żołnierzem, oczyścisz się prochem armatnim. Przystajesz na to?“

Miasto odpowiedzi upadłem mu do nóg, i ze łzami wdzięczności ucałowałem jego rękę szlachetną. Zdawało mi się, że od tej chwili stałem się innym człowiekiem, że każde łaskawe słówko jenerała robiło mię w dwójnasób szlachetniejszym.

Przydzielony najprzód jako posługacz do jedynastego pułku piechoty, byłem we trzy miesiące żołnierzem, w rok umiałem już czytać i pisać. Wiosna r. 1812 zaszczyciła mię galonem sierżanta, rok 1813 wyniosł mię na stopień podporucznika.

Nie myślę tu opowiadać historyę mojego zawodu wojskowego. Miasto opisów przygod wojennych chciałbym tu opowiedzieć, jakie przemiany zaszły w mojej duszy, odkąd rozpocząłem nowy okres życia.

Jak mi to powiedział jenerał Vauguyon, uczułem stopniowo zupełną zmianę mojej istoty.

Jest coś w życiu obozowem, co podnosi ducha, uszlachetnia serce, zaciera lub przynajmniej osłabia zdrożne uczucia. Ujęty w karby wojskowego rygoru, pozbyłem się niebawem dawnej dzikości i niesforności charakteru. Przystępując do nauk, starałem się z początku nauczyć się czytać jedynie dlatego, aby zostać z czasem podoficerem. Wnet jednakże inne przemówiły powody.

Kilku z moich towarzyszy czy przełożonych dawało mi w wolnych chwilach dobre książki, których czytanie odsłoniło mi nagle widokrąg, o jakim nigdy nawet nie zamarzyłem.

W taki sposób kształciłem powoli mój umysł, uwalniając się zarazem od dawnej gwałtowności charakteru, która miotała mną za lada silniejszem wrażeniem, lada żywszem uczuciem gniewu, miłości lub zazdrości.

Po dwóch czy trzech latach nowego życia przypomniałem sobie moją okolicę rodzinną, dawną trzodę, Luisellę i jej chatę, już tylko jakby jakąś gęstą owiane mgłą. Widziałem w nich jakieś nawpół senne widziadła, obce zupełnie mojej nowej egzystencyi, a niezdolne wzniecić już we mnie ani miłości ani nienawiści.

Dwa tylko wspomnienia dawniejsze tkwiły mi podczas tej dziwnej przemiany nieco wierniej. Jednem z nich był Alberyk, którego śmierć nie przebłagała mojej nienawiści ku niemu, drugiem — obraz Henryki de Montmeillan, której portret objawił mi najpierwej ten świat nieznany, co mię teraz otaczał.

To też wpośród wszystkich przygod i niebezpieczeństw mego życia wojskowego nie rozłączyłem się ani na chwilę z tym portretem. Z równą pieczołowitością przechowywałem też listy Henryki, nie śmiąc przecież czytać ich wprzódy, aż gdy potrzebne ku temu osiągnąłem już wykształcenie.

Okazało się wówczas, że oneto jedynie żywiły i podsycały we mnie wieczną zazdrość i nienawiść ku Alberykowi, którego wprawdzie potrafiłem zabić, lecz któremu nie zdołałem wydrzeć ani wzajemności Luiselli ani niemniej szczerej miłości Henryki.

Ale w jakiż sposób dać panu wyobrażenie o tych listach miłośnych? Byłem jeszcze bardzo młody, kiedy odczytywałem je po raz pierwszy. Moje odrodzenie się umysłowe było bardzo świeże i młodociane; toż nic dziwnego, że to czyste i szlachetne wylanie się młodej dziewczyny wywarło na mnie nieprzewidziane wrażenie. Mój nowy sposób życia uwolnił mię wprawdzie od gwałtowniejszych żywiołów mojej dawniejszej natury, lecz przy tem wszystkiem pozostałem zawsze jeszcze synem gór i lasów, podległym wszelkim żywszym wrażeniom. Pojmując każde delikatniejsze uczucie, byłem jeszcze nazbyt naiwnym, aby go zarazem w całej świeżości nie uczuć w własnej piersi. Ztąd też stały się dla mnie te listy tem, czem dla niektórych bywa jakiś romans powabny, który w pierwszych latach młodości przeczytany, wyrokuje nieraz o całej przyszłości młodzieńca.

Lecz w tem miejscu wypada mi pójść za przykładem najmodniejszych powieści dzisiejszych — i przeskoczyć w mojem opowiadaniu cały pięcioletni przeciąg czasu.

Dnia 18 czerwca r. 1815 byłem kapitanem jak dzisiaj, i brałem udział w ostatniej bitwie, w której zgasła na zawsze gwiazda Napoleona.

Nazbyt często opisywano tę walke, abym się w jej bliższe zapuszczać tu miał szczegóły. Powiem tylko, że otrzymałem od mego pułkownika zlecenie zająć bagnetem pewne stanowisko, które od rana trzymał nieprzyjaciel, i zkąd nam niesłychane wyrządzał szkody. Do pomocy przydano mi nieliczny oddział trzeciego pułku dragonów.

Walka była krwawa i zacięta.

W chwili, kiedy przemykaliśmy przez ogień Anglików, posuwając się z najeżonym bagnetem ku ich stanowisku, ugodziła kula w ramię młodego oficera dragonów, który z dobytą szablą za daleko wysunął się naprzód. Spadł z konia o kilka kroków odemnie.

Przyskoczyłem cożywo ku niemu, a uformowawszy dokoła niego czworobok z dwudziestu niemal żołnierzy, kazałem go wziąć na barki dwom silniejszych z moich ludzi. Ranny oficer opierał się wszelkiemi siłami moim rozporządzeniom, i z ciągłym okrzykiem: „Naprzód! puśćcie mnie!“ rwał się do szabli, aż wreście padł zemdlony po znacznym upływie krwi, która strumieniem sączyła mu się z rany.

Kazałem go jaknajspieszniej odnieść do naszych ambulansów, a sam stanąłem znowu na czele mojej kompanii. Anglicy, którzy już zaczynali się cofać, otrzymali niespodziewanie posiłki, i pokrzepieni na duchu, rzucili się do dalszej walki.

I znowu zawrzał bój srogi i zacięty. Zwycięztwo przechylało się stanowczo na naszą stronę, gdy wtem poskoczył ku mnie jakiś olbrzymiego wzrostu oficer angielski, i tak silne i zręczne zadał mi cięcie w głowę, iżby się nie powstydził go niejeden z bohaterów jego ziomka Walter-Skota.

Padłem na ziemię bez przytomności. Przyszedłszy do siebie, ujrzałem się w ambulansach. Obok mnie spoczywał na łożu jakiś równie ciężko ranny oficer, którego urywany oddech dochodził wyraźnie moich uszu.

Nagle obrócił twarz swoją ku mnie, a mimo okrywającej ją bladości śmiertelnej, poznałem oficera, który wczoraj padł tuż przy moim boku. I on mię także poznał.

— „Więc to oczywiście jakiś dzień nieszczęsny dla wszystkich serc walecznych i szlachetnych, kiedy i ty kapitanie, odniosłeś ranę“ — wyszepnął słabym głosem, probując uśmiechnąć się.

— „Właśnie tosamo powiedziałem sobie wczoraj“ — odrzekłem z natężeniem — „widząc cię obok mnie ciężko rannym.“

— „Pocożeś spieszył mi w pomoc?“ — dodał z wyrazem szczerego wyrzutu ranny kolega — „gdybyś nie stracił był przy mnie pięć minut najdroższego czasu, byłbyś z łatwością wyparł pierzchających już Anglików, i pewnie nie widziałbym cię tutaj....“

— „Być może“ — odpowiedziałem — „lecz nie żałuję tego, jeśli tylko w czemkolwiek przyczyniłem się do ocalenia twojego.“

— „Dziękuję ci, kochany przyjacielu! Pozwól mi nazywać cię tem imieniem, lubo tak mało się jeszcze znamy. Przyjaźń zawiera się prędko między ludźmi, którzy się poznają w ten sposób, jak my poznaliśmy się wczoraj...“

— „Z całego serca, kapitanie... jestem twoim przyjacielem.... będę nim zawsze“ — odpowiedziałem głosem który z osłabienia stawał się co chwila cichszym i niezrozumialszym.

— „A jeśli tą razą umkniemy jeszcze przedwczesnej śmierci“ — ciągnął dalej mój sąsiad — „chciałbym, aby to pierwsze spotkanie nasze stało się nierozerwanym węzłem braterstwa, pragnąłbym służyć z tobą w jednym pułku i w jednej kompanii..... Zezwoliszże na to?“

Wyszepnąłem ledwo zrozumiale:

— „Dobrze!“

— „Ale musisz przecie wiedzieć jak się nazywam“ — kończył mój towarzysz, wyciągając ku mnie z wysileniem małą i białą rękę. — „Zwę się Marcelli de Montmeillan!“

W tej chwili ręka, którą wyciągnąłem ku niemu, upadła mi bezwładnie na pościel, i postradałem przytomność od wzruszenia i osłabienia.

* * *

Znowu pięć miesięcy muszę przeskoczyć w mojem opowiadaniu.

Rana Marcellego de Montmeillan była daleko mniej niebezpieczną niż moja. Przecierpiawszy z bohaterską odwagą operacye wydobycia kuli z rany, powracał raźnym krokiem do zdrowia. Mimo to nie chciał się w żaden sposób rozłączyć ze mną.

Wzięci w niewolę po srogiej klęsce pod Waterloo, doczekaliśmy się wymiany pod koniec jesieni.

*

Już z początkiem września mógłby był uleczony Marcelli de Montmeillan powrócić do ojczyzny, i wypocząć w kole rodziny po tylu trudach wojennych i ciężkiej ranie. Widząc mię jednak ciągle jeszcze na łożu boleści, nie dał się żadną miarą nakłonić do odjazdu. Pozostał przy mnie, i zajęty mojem uzdrowieniem, pielęgnował mię z troskliwością siostry miłosierdzia, z wesołością towarzysza a przywiązaniem brata.

Podczas długich godzin mojej powolnej rekonwalescencyi spoiły się tem silniej węzły naszej przyjaźni, zawartej na polu bitwy i u łoża boleści.

Każdy człowiek wyzdrawiający po jakiejś ciężkiej chorobie znachodzi się w dziwnym stanie rozrzewnienia i pochopności do wszelkich żywszych wzruszeń i uczuć. Zdaje mu się że odrodzony do nowej egzystencyi, wstępuje w jakiś o wiele powabniejszy okres życia, że odzyskawszy postradane siły, odmłodniał na ciele i na duszy, i powrócił do dziecięcej czułości i wrażliwości serca.

Wśród takiego stopniowego odradzania się życia, czujemy w sobie jakąś nieprzezwyciężoną potrzebę kochania, która staje się temsilniejszą, im większe powaby ma dla nas nadzieja nowego bytu.

Z niewypowiedzianą też rozkoszą oddałem się uczuciom przyjaźni z Marcellim de Montmeillan.

Serdeczna ta przyjaźń była dla mego ducha, mało oswojonego z obyczajami świata i ludzi, czemś wcale podobnem do owego uczucia, jakie wywołały w sercu mojem portret i listy Henryki.

Poczytywałem tę przyjaźń niejako za chrzest nowego życia, za zaprosiny w progi nowego świata, w którym zespolenie się delikatniejszych uczuć i wrażeń, czyli raczej wpływ wychowania i urodzenia, uszlachetnia wszelkie odcienia mowy i myśli.

W krótkim czasie nie miał Marcelli de Montmeillan żadnej tajemnicy przedemną. Widząc już cerę powracającego zdrowia na mojej twarzy, a niekiedy i uśmiech zadowolenia na ustach, przestał odgrywać rolę ciągłego żartownisia, którą dotąd silił się rozweselić mię w bolu.

Wyraz rzewnej melancholii rozlał się teraz po czole szlachetnego młodzieńca; jakiś smutek tajemny przebijał się w jego oczach i twarzy. Zapytałem go o przyczynę tego — jak się zdawało — zwyczajnego u niego usposobienia. Odpowiedź jego, lubo naprzód niestety przewidziana, przejęła mię nowem gwałtownem wzruszeniem.

Opowiadał mi Marcelli, że ma siostrę, że ta siostra kochana, jedyna pociecha sędziwego ojca, była zaręczoną przed kilką laty pewnemu młodemu oficerowi, imieniem Alberyk d'Offanges, którego kochała, i od którego kochaną była nawzajem. Usłyszałem następnie, że Alberyk w strasznej wojnie kalabryjskiej padł ofiarą w jakiejś zasadzce zdradzieckiej, że ciała jego nie zdołano nigdy odszukać, że dotąd jeszcze panuje jakaś dziwna tajemnica co do śmierci Alberyka, że mówiono o jakiejś nocnej schadzce wśród boru ś. Eufemii, gdzie znaleziono jakąś nieżywą dziewczynę, i że jedyny człowiek, któryby mógł wyjaśnić tę tajemnicę, Ferdynand de Drancey, zginął na nieszczęście w kilka dni po zniknięciu Alberyka, przeco nie można było dowiedzieć się nic stanowczego w tej mierze.

Nie potrzebuję mówić, jak żywe i gwałtowne uczucia miotały mną podczas tego opowiadania. Przejęty niewymownem spółczuciem dla Marcellego Montmeillan i jego rodziny, zapomniałem w jednej chwili o wszystkich krzywdach, doznanych od Alberyka, i zacząłem wyrzucać sobie śmierć jego jakoby zbrodnię.

Przy tem wszystkiem nie wygasła w sercu mojem owa osobliwsza zazdrość ku Alberykowi, i skutkiem jakiegoś dziwnego urojenia uwierzyłem teraz najmocniej, iż zabiłem go tylko dla miłości Henryki.

Prawda że ciągłe obcowanie z Marcellim natchnęło mię temwiększą czcią, temwiększem uwielbieniem dla jej obrazu.

Marcelli prawił mi bezustannie o swojej siostrze kochanej, wynosił jej cnoty, jej pobożność, jej piękność i szlachetne serce; a w ciągu podobnej rozmowy ani się domyślał, że tensam obraz, który on jaknajżywszemi odmalować mi pragnął barwami, ja z własnego popędu w niemem rozrzewnieniu przyciskałem do serca.

Często powtarzał mi Marcelli:

— „Co mię przecież niemałym przejmuje niepokojem, to pewne dziwne urojenie nieszczęśliwej siostry mojej. Mniema ona że śmierć Alberyka jest jeszcze bardzo niepewną, może zupełnie nie prawdziwą; toż w samym kwiecie wieku, przy uderzającej urodzie swojej, odsunęła się zupełnie od świata i ludzi, skazała się na ciągłą samotność, ciągły smutek i nieprzerwane oczekiwanie kogoś, który pewnie już nie liczy się w gronie żyjących. A znam niestety aż nazbyt dobrze jej serce

szlachetne, abym mógł pocieszać się nadzieją, iż kiedyś zachwieje się w powziętym raz zamiarze. Dusza jej lubuje w podobnem poświęceniu się, jakgdyby każda boleść zbliżała ją tembardziej do Alberyka. Cóż to jednak za srogi cios dla wszystkich moich marzeń! Będąc żołnierzem w całem znaczeniu tego słowa, lękam się małżeństwa bardziej niż czegokolwiek innego w świecie. Toż spodziewałem się zawsze, że zostanę do śmierci bezżennym, że wydam za mąż moją siostrę, i zrzekając się dla niej całego spadku ojcowskiego, postawię ją w możności wybrać sobie przyszłego małżonka podług własnego upodobania, i że powróciwszy kiedyś z długiej służby wojskowej do Montmeillan, na odpoczynek po wojennych przygodach i niewczasach, zastanę Henrykę otoczoną trojgiem lub czworgiem dziatek, któreby strudzonemu wujowi umiliły resztkę spokojnego żywota Przyznam się, że nie wiedzieć czegobym nie poświęcił, żeby się znalazł jakiś godny Henryki człowiek, któryby potrafił ją przekonać, jak nierozsądnie jest oddawać się smutkowi bez końca i miary, i żywcem zakopywać sie niejako do grobu, opłakując kochanka, o którego wierności możnaby nawet powątpiewać poniekąd.

Wśród takich rozmów dodawał nieraz Marcelli od niechcenia:

— „Wiesz Paolo, że przy swoich czarnych oczach i przy tej bladości, która w chorobie tak bardzo wybieliła ci cerę, jesteś bardzo przystojnym, i możesz podobać się najwybredniejszej kobiecie.“

Każda uwaga tego rodzaju przejmowała mię dreszczem od stóp do głowy.

W początkach zimy r. 1816 ozdrowiałem zupełnie. Pozostało mi cokolwiek osłabienia i trochę bladości w twarzy.

Marcelli de Montmeillan użył tymczasem bez mojej wiedzy wszelkiego wpływu, jaki u nowego rządu Francyi nadawało mu jego imię. Za jego wstawieniem się pozostawiono mi mój stopień w armii, a dla temlepszego wyleczenia się z ran odniesionych uwolniono mię na cały rok od służby.

Otrzymawszy takąż łaskę dla siebie samego, oznajmił mi nagle Marcelli, iż cały czas urlopu muszę przepędzić z nim w Montmeillan, w towarzystwie jego ojca i siostry.

Byłto dla mnie dzień na zawsze pamiętny, kiedy stanęliśmy wreście w tym starożytnym zamku, położonym w okolicy Veauxrepy, a nietkniętym burzami rewolucyi.

Wysiedliśmy obadwaj przed gankiem. Ja byłem prawie więcej rozrzewnionym i pomieszanym niż sam Marcelli. Wsparty na jego ramieniu, przeszedłem długą galeryę, gdzie wszystko tchnęło odżywającą na nowo powagą szlachectwa starożytnego, i stanąłem w przedpokoju, prowadzącym do salonu.

Nagle rozwarły się drzwi, a w progu ukazał się sędziwy starzec, trzymając za rękę młodą dziewczynę, w stroju żałobnym.

Hrabia de Montmeillan, który miał tytuł wiceadmirała i czerwoną wstęgę u fraka, był jednym z owych bohaterskich oficerów dawnej marynarki francuzkiej, którzy przed czterdziestą niespełna laty tak wielką chwałą okryli banderę Francyi na morzu indyjskiem. Mógł on wtedy liczyć już około lat siedmdziesięciu, wszakże czerstwa jego postać nie uginała się jeszcze pod brzemieniem wieku. Trzymał się prosto i silnie, oko żywem jeszcze pałało blaskiem, a na ustach jaśniał ustawicznie uśmiech uprzejmości.

Powierzchowność Henryki różniła się nieco od portretu, który tak mocno wniknął mi w pamięć, a który i w tej chwili miałem przy sobie.

Wizerunek jej przedstawiał dziecko szczęśliwe i spokojne; w rzeczywistości zaś ujrzałem przed sobą dorosłą i poważną dziewicę, z twarzą posępną i bolejącą.

Henryka wstąpiła już w dwudziestą pierwszą wiosnę. Piękność jej dojrzała wiekiem, uszlachetniona boleścią, przybrała wyraz owego idealnego uroku, owej poetycznej smętności, jaki wyciskają na czole cierpienia, rezygnacya i miłość. Cała jej dusza zwierciedliła się w jej rysach delikatnych i powabnych.

Częste łzy powlokły jej oczy jakąś przejrzystą zasłoną melancholii, podobną do owej mgły porannej, w której kąpią i łomią się pierwsze promienie słońca.

Wsparta jedną ręką na ramieniu ojca, wyciągnęła drugą ku Marcellemu, jakgdyby wszyscy troje mieli w jedną zlać się osobę, i zapłonąć jednem uczuciem powitania.

— „Ojcze! i ty, moja Henryko!“ — zawołał Marcelli po pierwszych uściskach — „pozwólcie, abym wam przedstawił kapitana Pawła Garbas, o którym tyle pisałem w listach moich.... Ojcze! kochaj go jak syna, Henryka, przyjm go jak brata, bo bez niego nie mielibyście dziś ani brata, ani syna.“

Tu w krótkich słowach powtórzył Marcelli scenę naszego poznania się na polu bitwy, o którem już kilkakrotnie wspominał w listach swoich.

— „Witam cię, Pawle!" — rzekł starzec z ujmującą powagą.

— „Panie, będziemy cię kochali, jak tylko można kochać w smutku" — wyrzekła Henryka głosem którego słodki i czuły wyraz zdaje się dotąd jeszcze grać w moich uszach.

Od tej chwili wszedłem niejako w grono rodziny zamku Montmeillan. Czas, który spędziłem tutaj, wpośród tych trzech istot wybranych, obsypywany dowodami ich przyjaźni i życzliwości, pozostanie mi na zawsze w pamięci jak słodki sen pomiędzy dwoma okropnemi nocami bezsennemi.

Kiedy nadeszła wiadomość o nagłem zniknięciu Alberyka. usunął się stary hrabia z Henryka z Grenoble do zamku w Montmeillan, którego odosobnione położenie zgadzało się lepiej ze smutkiem narzeczonej.

W chwilach boleści nie mają dusze szlachetne i kochające lepszego schronienia nad wiejskie ustronie. W oddaleniu od gwaru miasta łatwiej koją się smutki, zwłaszcza probując niesieniem ulgi nieszczęściom cudzym przezwyciężyć cierpienia własne, i pocieszaniem cudzej niedoli pocieszyć siebie samych.

Henryka i jej ojciec stali się istnymi aniołami dobroczynności dla całej okolicy, odkąd zamieszkali w Montmeillan. A jeżeli z ich własnych serc zbolałych nie ustąpiły smutek i żal, tedy przynajmniej po całem ich otoczeniu rozlała się radość i szczęście, i ze wszystkich stron błogosławiono ich pamięci.

Henryka opowiedziała w krótkich słowach cały tryb życia w Montmeillan. My nawzajem bawiliśmy ją opisami przebytych kolej życia. Wtedy częstokroć, gdy pogrążona w smutku spojrzała na mnie albo na brata, lub gdy przysłuchywała się naszym opowiadaniom, zalśniły łzy w jej oku, a blade zazwyczaj jagody okryły się lekkim rumieńcem. Wnet jednakże do temwiększej wracała posępności. Dopiero kilka przeczytanych kartek z Bossueta, którego zawsze miała pod ręką, dopiero kilka minut cichej modlitwy, albo jakaś pieszczota ojca lub brata, znowu cokolwiek rozweselały jej umysł. W takich razach pozostawał jej tylko wyraz pewnej słodkiej melancholii, która ją dwójnasób czyniła powabniejszą.

W jaśniejszych dniach zimowych wychodziliśmy na przechadzkę do ogrodu. Marcelli podawał jedno ramię mnie a drugie Henryce, żywą zawsze pomiędzy nami utrzymując rozmowę. Gdym zaś po nagłej krótkiej niemocy w Montmeillan wstał znowu z łoża, ścisnął Marcelli przy podobnej przechadzce zarazem moje i siostry ramię, i rzekł:

— „Jestem wpośród dwojga ozdrowiających!"

Zanadto może długo rozwodzę się nad temi drobnostkami, wszakże trudno mi oderwać się od tych uroczych wspomnień, niepodobna mi kilką słowy zbyć najszczęśliwszą epokę mojego życia.

Nie mogłem jeszcze tak dobrze i dokładnie wpatrzyć się w moje serce aby odgadnąć rodzaj uczucia, jakiem natchnęła mię Henryka.

(D. n.)

Opis niektórych miejsc Galicyi w r. 1685,

przez

Francuza w służbie króla Jana III.

(Ciąg dalszy.)

III.

PODHORCE.

Zamek w Podhorcach, acz nieco szczupły, jest niezawodnie najpiękniejszą budową w Polsce, a nawet w każdym innym kraju należałby do gmachów niezwyczajnych. Zbudowany w dobrym guście, składa się on z głównego pałacu mieszkalnego, dwóch przybocznych pawilonów i małej smukłej wieży w pośrodku, ozdobionej kopułą, i nadającej całemu budynkowi bardzo wspaniałą powierzchowność. Zbudowany niedawno z cegły, ozdobiony rzeźbą z kamienia, ma on chyba tę jedną wadę, iż jest nazbyt nizkim i szczupłym. Gdyby nie uderzająca piękność i wytworność powierzchowności, nie możnaby nawet domyśleć się, że to zamek magnata. Leży on na krawędzi wysokiej góry, pod obroną czterech małych, z cegły murowanych bastionów z okopem i fossą o kamiennych kontrskarpach podminowanych. Wszystkie te fortyfikacye zdają się jednakże służyć raczej dla oka niż ku rzeczywistej obronie zamku.

Niewielki podwórzec zamkowy zdobią bardzo okazałe galerye z poręczami, wykładane marmurem, a połączone z długiemi korytarzami, na słupach. Wchodzi się do pałacu wspaniałemi schodami pokrytemi kopułą. Apartamenta wewnątrz pałacu są uszykowane symetrycznie i w wysokim stopniu ozdobne. We wszystkiem panuje wytworność i przepych pański. Do pokojów prowadzą drzwi marmurowe, a ściany lśnią od złota i malowideł.

Podwójny rząd pokojów przypomina styl włoski, a zbiega się nakoniec w jedną salę ogromną, o dwojgu wielkich drzwi, prowadzących na balkon. Otwiera się ztamtąd widok na bastionę i okopy, okryte kamieniami na kształt terassów. Kaplica w środku pałacu, mająca wysoką kopułę u szczytu, jest prawdziwem cackiem tak pod względem architektury i proporcyonalnych kształtów jak i co do urządzenia swojego wewnątrz, nadzwyczajnie bogatego w malowidła i tysiączne ozdoby z marmuru i ze złota.

Nic powabniejszego jak widok z zamku. Ogarnia on nieprzejrzane okiem płaszczyzny, poczynające się u stóp góry, tudzież pięć czy sześć oparkanionych terassów, które wznosząc się coraz wyżej, tworzą tyleż różnopiątrowych ogrodów, obfitujących w groty, statuy, sadzawki, pawilony na wielkich słupach murowanych, i w parapety wyłożone po wierzchu kamieniem. Z jednego ogrodu do drugiego prowadzą piękne schody, a poza ostatnim ogrodem rozpościera się po całej reszcie góry, i ciągnie się aż ku gościńcowi poniżej piękny sad owocowy. Po prawej i po lewej stronie sadu wznoszą się dwie wielkie altany w kształcie podkowy, zkąd nowe schody prowadzą na sam szczyt góry. Na pierwszy rzut oka uderza zamek podhorecki podobieństwem do pałacu Chateaunef w St. Germain, który prawie takieżsamo ma położenie.

Podhorce ucierpiały wielce od kozaków w wojnie domowej, która wybuchła po buncie ukraińskim. Wszakże sam zamek, fortyfikacye, a nawet jedna z terassów czyli owych ogrodów, uszły drapieżnych rąk kozactwa, i z wydatkiem stu tysięcy talarów zatarto wszelkie ślady zniszczenia.

W pobliżu zamku leży na uboczu mała wioszczyna, zbudowana na schyłku góry, niedaleko jej szczytu. Posiada ona u siebie skarb osobliwszy. Jestto jedno z najpiękniejszych źródeł, jakie można spotkać gdziekolwiek, z którego dałyby się prześliczne utworzyć wodotryski, gdyby je skierowano do grot i sadzawek ogrodu, lub do samego pałacu. Nietylko bowiem bije ono nadzwyczaj żywo, ale wytryska do tego w takiem miejscu, iż z łatwością możnaby je w znaczną rozprowadzić odległość.

IV.

B U C Z A C Z.

Miasto Buczacz leży w głębi kraju, nad rzeką Strypą, która je przerzyna na dwie części. Według tego podziału należy jedna połowa Buczacza do Rusi Czerwonej, druga zaś do Podola.

Strypę bowiem poczytują za granicę między obudwoma prowincyami. Dokoła miasta wznoszą się małe wzgórza, a nawet w samem mieście znajdują się pagórki nieco mniejsze. Buczacz był niegdyś murowanym i ze wszystkich stron otoczonym czworobocznemi basztami, z których teraz pozostały tylko mury w wysokości człowieka.

Zamek dziedzica, zbudowany z kamienia, o kilku wysokich piątrach i nader grubych a silnych murach, wznosi się nad miastem u szczytu pochyłej góry.

Dziedziniec zamkowy, ozdobiony rzędem galeryj i wielą innemi przyborami architektury, zamyka w sobie prześliczną fontanę, bijąca zdrojami nadzwyczajnie zimnej i czystej wody. Samo położenie zamku byłoby zachwycające, bo wzgórze, na którem rozpiera się budowa, jest dość wysokie i z trzech stron strome i skaliste, wszakże nad jednem z skrzydeł zamku wznosi się jeszcze wyższa o wiele góra, a ta psuje wszelką symetryę. Do tego w stronie od wjazdu północnego, poza wąską doliną naprzeciw zamku, piętrzy się inna góra wysoka, na której stoi murowana cerkiew ruska. Gdyby w tem miejscu ustawiono bateryę, stałaby się ona zgubną zarówno zamkowi jak i miastu samemu, ile że ostatnie ma tylko baszty ku swojej obronie, a warowność zamku ogranicza się na kilka okopów, pokrytych kamieniem.

Dokoła miasta, po jednej i drugiej stronie wzgórz, mianowicie poza górą zamkową znajdują się liczne ogrody z mnóstwem źródeł. Chłopi budowali sobie na wzór dawnych Sarmatów chaty i mieszkania tuż przed bramami miasta i pod armatami zamku. W samem mieście, wystawionem ciągle na napady pohańców, mieszkają tylko Żydzi i kilku Polaków. Składa się ono z zniszczonych i na poły popalonych budynków, tudzież z kilku karczem drewnianych, pokrytych słomą. Środkiem miasta płynie strumyczek, poruszający dwa czy trzy młyny.

Buczacz był niegdyś bardzo znacznem i obronnem miastem, i wydawał się tak ważnem stanowiskiem strategicznem, że dzisiejszy sułtan Mahomet IV po zajęciu Kamieńca w roku 1672 w własnej osobie nadciągnął ku jego oblężeniu.

Buczacz należy do posiadłości domu Potockich. Kiedy sułtan rozparł się pod miastem, przebywała w zamku sama tylko pani z dro-

bnemi dziećmi. Ani zamek, ani miasto nie mogły skutecznego oporu stawić najezdcom. Miasto uległo po bardzo krótkiej obronie, zamek poddała sułtanowi sama dziedziczka, za co dość zaszczytnego obejścia doznała od zwycięzcy.

Mahomet nie był tak dzikim, aby mu miały być obce zwyczaje cywilizacyi. Zażądał z własnego popędu widzieć dzieci pani Potockiej, z któremi się czule popieścił. Dreczona trwogą matka ofiarowała mu bogate klejnoty. Sułtan nie przyjął daru; lękając się jednak, aby odmówienia nie poczytano za wzgardę, wziął z podziękowaniem klejnoty od matki, a własną ręką darował je napowrót jednemu z dzieci.

Tradycya ta tkwi jeszcze w pamięci, a dzieci te, dziś już mężowie, bawią na dworze królewskim, i wysokie piastują tam urzędy. Jeden z synów jest wielkim łowczym koronnym.

W roku 1672 zburzyli Turcy tylko jedną część miasta i zamku buczackiego, a dopiero w r. 1676, t. j. w roku bitwy i pokoju żurawińskiego, dokonane zostało dzieło zniszczenia, i to w tak srogi sposób, iż z murów i baszt pozostały jeszcze gruzy, a z budynków prawie żaden nie uszedł całkowitej ruiny.

O ćwierć mili od miasta stał na małem wzgórzu wśród rozległej równiny drugi zamek w pobliżu lasu. Nie uniknął i ten zagłady, i jest dzisiaj na poły zawalonym i zupełnie opustoszałym budynkiem. (D. n.)

Zamężcia urzędowe w średnich wiekach. Czasy wygórowanej czci kobiet, czasy galanteryi rycerskiej, nie były wolne od wielu różnych sposobów udręczania płci białej. Oprócz zwyczajnego wykluczenia córek od ziemskich posiadłości ojcowskich, oprócz znanej z romansów srogości opiekunów, oprócz daleko mniejszej swobody w wyborze mężów, groził jeszcze urzędowy przymus oddania ręki pierwszemu lepszemu ochotnikowi. Według systemu feudalnego winien był każdy posiadacz ziemi pełnić osobiście służbę wojenną. Niektóre z takich ziem feudalnych pozostawały po śmierci męża przy żonie, jednakże pod warunkiem, żeby w pewnym przeciągu czasu znalazła sobie nowego męża. Jeśli w oznaczonym terminie pani ziemi nie poszła zamąż, następowało upomnienie z urzędu. Dopóki wdowa była niebardzo stara, nietrudno było uczynić zadość wezwaniu; im dalej atoli rzeczywistość odbiegła od wskazanego tutaj warunku, tem niebezpieczniejsza stawała się kollizya między damą a prawem. I trafiały się wistocie tak często kollizye tego rodzaju, iż w wielu księgach ustaw feudalnych, mianowicie w sławnych *Assyzach jerozolimskich*, poświęcano temu całkowite rozdziały. W jednym z takich rozdziałów czytamy: „Jak odpowiedzieć ma dama, którą książę zniewala brać sobie męża (*de baron prendre*, baron — pierwotnie tyle co *mąż*, mężczyzna)... Owoż jeśli książę ozwie się do niej: „*Dame!* masz obowiązek pójść za mąż“— a dama miałaby przeszło pięćdziesiąt lat, tedy niech mu odpowie: Miłościwy książę! Byłoby to grzechem względem Pana Boga, a niedorzecznością w obec rozumu, gdybyś gwoli służbie wojennej zmuszał do zamężcia kobiety w wieku podeszłym, stare baby mające dajmy-na-to ośmdziesiąt, dziewięćdziesiąt albo sto lat, t. j. próchna chodzące.“ — Taka dama winna tylko o tyle posłuszną być księciu, o ile to zgadza się z jej wiekiem i osobą. — W innym paragrafie opisuje przeciwnie taż *ustawa jerozolimska*, jakim sposobem ma upomnianą być wdowa, która mimo niezbyt podeszłych lat, ociąga się z wyborem męża. „W takim razie powinien książę przedstawić jej trzech kandydatów, i posłać do niej trzech panów, jednego w imieniu własnem, a dwóch jako przydanych mu towarzyszów. A ten, który reprezentuje księcia, ma powiedzieć: *Dame!* Oto w imieniu księcia tego a tego, przedstawiam ci trzech małżonków, nazywających się tak a tak, i upominam cię po raz pierwszy, drugi, i trzeci, abyś w takim a takim przeciągu czasu wybrała sobie jednego z nich za małżonka. Inaczej utracisz ziemię.“—Pozostawałoby jeszcze pytanie: jak szczęśliwemi bywały podobne zamężcia urzędowe? W tej atoli mierze nic nam nie donoszą ustawy, a cobyśmy o tem przytoczyć mogli z kronik albo z luźnych zabytków poezyi średniowiekowej, nie bardzoby zbudowało.

Wodzirej. Jedno z pism lwowskich chciało w czasie zapust wprowadzić w używanie wyraz *wodzirej* zamiast niemieckiego *fortencer*. Dopóki trwały zapusty, godziło się nie psuć ochoty *wodzirejom* i *fortencerom;* teraz wszakże przy wielkim poście, nie od rzeczy będzie zrobić uwagę, iż zaprojektowana poprawka niezupełnie odpowiada celowi. Mniemany bowiem polski wyraz *wodzirej*, przypominający zresztą kalibrem swoim wyrazy ciężkiego wagomiaru jak *zawali-droga* i t. p., okazuje się znowuż słowem nawpół niemieckiem. Dawny rzeczownik *rej*, taniec, jest żywem powtórzeniem staroniemieckiego słowa *der Reihen*, w średniowiecznej niemczyźnie *reie*, lub zprosta *rei*, podobnież *taniec*, jak to jeszcze podziśdzień przypomina się w wyrażeniu *den Reihen führen*, t. j. właśnie: być *wodzirejem.* Nie polepsza tedy rzeczy poprawka, a chcąc koniecznie mieć polskich *fortencerów,* potrzeba ratować się innym wyrazem, może np. wyrazem *plas.* Ależ jak *rej*, jak *taniec*, tak podobnież i *plas*, jest bardzo wątpliwej narodowości, i pochodzi zapewne od gockiego wyrazu *plinsan*, tańcować, znanego już w Ulfilowym przekładzie biblii z wieku IV, kiedy jeszcze bardzo głucho o Słowianach w historyi. Nie pozostaje nic innego w takim wypadku, jak szukać rady w innych *mowlach* słowiańskich, a ponieważ w języku serbskim taniec zwie się czystosłowiańskim wyrazem *koło*, więc chyba *wodzikołem* wypadłoby w przyszłe zapusty nazywać *fortencera.*

Pieniacz przyszedł do adwokata i prosił go, aby się podjął jego sprawy. „Interes pański bardzo dobry“ — rzecze adwokat — „lecz przykro mi że przyszedłeś pan już zapoźno, dziś rano obowiązałem się stanąć w obronie twojego przeciwnika. — „Ale kiedy moja sprawa dobra, to jego musi być zła.“ — „To się pokaże przy jej wprowadzeniu“ — odpowiedział niezmieszany adwokat.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*